

3

Kamera

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ NUMERU TRZECIEGO:

FLAMEN	Walka o człowieka . . . str.	33
JAN WYDRA	Fragmenty z autobiografji . . .	34
STANISŁAW PIĘTAK	Spotkanie	36
M. CZUCHNOWSKI	Jak	38
TAD. BOCHEŃSKI	Zachód słońca w Kazimierzu . . .	39
K. AND. JAWORSKI	Most	39
	Wspomnienie o S. Jesieninie . . .	40

Poezja rosyjska

ALEKS. PUSZKIN	Jam pomnik sobie wznosił . . .	42
M. LERMONTOW	Gdy lekki chesze wiatr . . .	42
ATANAZY FIET	Na stogu siana nocą letnią . . .	43
TEODOR SOŁOGUB	Już ostatnie dążenia w nas gasną . . .	44
KONST. BALMONT	Kowal	44
MAKS. WOŁOZYN	Głowa Madame de Lamballe . . .	45
ALEKSANDER BŁOK	Legenda	46
SERGJUSZ JESIENIN	Może późno, może nazbyt . . .	47
W. MAJAKOWSKIJ	Krzysztof Kolumb (fragment) . . .	48
BORYS PASTERNAK	Góry Wróble ,	49
	Noty	50

Wkładka: Fragment Chełma, linoryt Z. WAŚNIEWSKIEGO

Okladka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski Wydawca: Zenon Waśniewski

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki

Redakcja: Chełm Lubelski, Reformacka 43. Redaktor przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Administracja: Chełm Lubelski, Reformacka 15 B.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.

Cena numeru pojedynczego 50 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura“ w Chełmie.



WALKA O CZŁOWIEKA

(Na marginesie dramatu Szelburg — Zarembiny)

Ewa Szelburg — Zarembina to jedna z nielicznych poetek polskich, która nie zaszywa się w głębi swego saloniku i nie bawi się ustawianiem na konsoli rokokowych cacek, ale śmiało zagląda w meduzie oczy współczesności, po męsku szukając wyjścia w gąszczu antynomij życia dzisiejszego. W dobie zupełnego spadku na giełdzie barbarji faszystowskiej nędznych papierów człowieka z heroizmem rozdmuchuje ledwo tlejącą już iskrę człowieczeństwa, by wybuchła w olbrzymi pożar.

Przed szesnastu laty oglądałem w Charkowie dramat nieznanego mi pisarza „Znowu na ziemi“. Treścią jego było powtórne przyjście na ziemię Chrystusa i nowa jego Golgota. Rzecz napisana była przed wojną, kiedy wyrazów „ludzkość“, „humanitaryzm“ nie złożono jeszcze do lamusa. Jakiż los spotkałby teraz Galilejczyka, gdy liczba faryzeuszów tysiąckrotnie wzrosła, a godło chrześcijaństwa wypiera w drapieżne szpony wygięty krzyż swastyki hitlerowskiej? Jako Żyd i „marksista“ poddany byłby tylko bardziej wyrafinowanym mękom, a krzyż zastąpiłaby szubienica.

Ten właśnie problemat poruszyła w dramacie „Ecce homo“ Szelburg — Zarembina. Utwór ten to poetycki przekrój ohydnej rzeczywistości powojennej, na którą tragicznie się kładzie olbrzymi cień Ukrzyżowanego. Bezcelowość Golgoty: wartoż było swe święte życie oddać ludzkości, która w perspektywie dwóch tysiącleci urosła w upiorny koszmar, wobec którego augustjańskie czasy Imperjum Rzymskiego wydają się złotym wiekiem niewinności.

Tragiczna ludzkość krwią ocieka. Armja ugwieżdżonych orderami inwalidów — to ludzie zbyteczni, których miejsce przy warsztatach i żonach zdrowi zajęli. Matki oplakują poległych synów, przeklinając potworność wojny. A oto dzieci w papierowych hełmach bawią się drewnianymi pałaszami i upojone zabawą w wojsko, marzą o chwili, gdy prawdziwe szable na boźnie w dłonie ujmą.

Bezrobocie, nędza i głód. Tłum bezrobotnych chce gwałtem opanować fabrykę i puścić w ruch śpiące maszyny. Ale znajdzie się praca. „Dla wszystkich będzie robota, pracę zwiększymy wdwójnasób“.... w fabryce, produkującej gazy trujące i materiały wybuchowe.

Schronisko wielkowiejskie dla bezdomnych: brud, ciasnota, kłótnie, tania rozpusta, karciarstwo — nędza najskrajniejsza. Nie w stajence betleemskiej, tu wśród ludzi, którzy gorzej od bydła stajennych żyją, narodzi się dzisiaj Chrystus. Nie trzech królów, nie pasterzy, nędzoty najlichszej adorację przyjmie.

I będzie nauczał: tragarza, zgarbionego pod ciężarem cudzych waliz, pocieszy, praczki skrwawioną dłoń ukoi, śmieciarce, zżartą przez chorobę, przygarnie, nad więźniem się ulituje, za prostytutką przed faryzeuszami się ujmie, wszystkim „ubogim i cichym“ królestwo niebieskie obieca.

I zawiśnie na krzyżu — szubienicy, bo uczył: „kto gniewa się na brata swego, winien będzie sądu“, a wszak „to nie do praworządności krok, a raczej do nierządu“, bo kazał „miłujcie nieprzyjaciół wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści“, a przecież „kazać miłować nieprzyjaciół, to z ręki wytrącać miecz“. Słowem, „podważał ład, na którym stoi świat“.

Lecz nie umarł. Zmartwychwstał. Żyje w każdym nędzarzu. „To są moje ręce spracowane, to są moje te skrępowane do krwi ręce“ (Cieśla). „To mój krwawy pot po mojej twarzy ścieka“ (Praczka). „To mnie uderzyli w twarz, to na mnie plują. Zawsze opluta, zawsze bezczeszczona przez każdego przechodnia, codnia, codnia!“ (Dziewczyna). „To ja pod krzyżem się zginam. To mnie grzbiet pęka“ (Tragarz). „Wyszedłem z więzienia, a oto znów jestem pojmany, uwięziony, skazany i na śmierć prowadzony niewinnie“ (Włóczęga — były więzień). Kalwarja dnia powszedniego. Golgota „prostego człowieka“.

Heroiczny trud zaiste podejmuje poetka: zbite, skopane, zdychające z głodu bydłę ludzkie podnieść znowu do godności człowieczeństwa.

JAN WYDRA

FRAGMENTY Z AUTOBIOGRAFJI

ODPUST

Trzyletni Jasio, chwiejąc się nieco, stoi na placu wielkim i płaskim jak stół. Widzenie oczu, pełnych światła i kręgów z ognia, które wirują bezustanku, widzenie, osłepione ulewą i nawałnicą i błyskawicą barw, nie sięga krańców tej ziemi, żółtej jak plaster miodu. Ziemia, na której stoi, jakby sam, opuszczony i jakby podzielny na mnóstwo rąk i nóg i na wiele

oczcu, tylko tu, bliżej dobra jest. A dalej to naprawdę niewiadomo co.

Słońce idzie! Młode, jurne idzie po niebie, wonnemi a połyskliwemi promieniami niby pszeną słomą trzęsie. Cały plac kościelny stał się w tem słońcu podobny do rozświetlonego złotym pyłem wnętrza wielkiej stodoły.

A w stodole ciepło. Skronie Jasia tętnią od upału i zardziwień, bo może to są głuche odgłosy spadających na klepisko cepów. Oto widzi już w powietrzu złote, rozśmigane bijaki.

Przestrzeń huczy melodją organów.

Dawno zapomniał z kim i poco przyszedł.

W oczach kołują pojedyncze kwiaty chustek, gorsetów, zapasek. Tuż obok przeszedł wielki cień buciorów z cholewami — tam stanęła pod światło jak chmura bronzowa sukmana.

Tupot nóg.

Zjawiają się i giną kolorowe lalki — tu — i tam — i wkoło. — — —

Zieloną wstęgą rozciągnął się strzyżony żywopłot, znie-ruchomił przed idącym jak we śnie dzieckiem. Skurcz trwogi zmaćcił świat. Zmaćciły się i oczy błękitne. Coś uderzyło w serce. Usłyszał trwożliwe okrzyki, śmignęło kilka par biegnących bosych nóg. Nad żywopłotem uniosła się pod samo niebo łysa, pomarszczona, oslepiła głowa Dziada.

STRACHY

Każdy gasnący dzień ukazywał Jasiowi coraz to nowe dziwy i coraz to inne spadały nań strachy. Niespodziewane były, płocze, dokuczliwe.

Być może dlatego właśnie oczy jego upodobniły się do motyli w żywości, błyskotliwości i wiecznem ulatywaniu nad mnóstwem rzeczy i zdarzeń. Fruwały jak nad zaczarowanym ogrodem, coraz śmieiej wybiegały w przestrzeń, przed siebie, na wiele stajań poza ciasną już zagrodę — w prawdziwy świat. Wiedział też, że tego świata istotę cudowną ukazuje tylko lęk, tylko strach, wytrzeszczający ślepią, tylko trwoga, mająca swe legowiska w ciemnych kątach, ciasnych szponach i zakamarkach, nie odwiedzanych przez ludzi.

Z nocnej émy od strony bagna dawała znać o sobie żalostnem pohukiwaniem, zaglądała przez szpary do wnętrza stodoły, pod mostem, na rzece, tańczyła w jasnych kołach i smugach po spróchniałych belkach, klaskała rozgłosnie w głębinach

wodnych, łechtala po ciele zimnemi mackami i porywała za włosy. Przyczojona wśród spłowiiałych kartek pobożnej książki, łypała wołowemi ślepiami i szczyrzyła zęby.

Daleki gwizdek nadbiegającego pociągu wzywał Jasia, prosił, błagał tak żałośnie, że nie mogąc podołać tęsknocie, biegł pod most kolejowy, kucał pod chłodną ścianą granitową i patrzył w zgrozie na spiętrzone wysoko nad głową stalowe przęsła. Z drżącym łoskotem i przeraźliwym wyciem wpadał na rusztowania i kraty potwór — parowóz. Był jak burza ognia, żelaza i czarnego mroku. Wpadał, ciągnął za sobą w biegu dygocące cielska wagonów. A razem było to wszystko gwałtem ogromu, dziejącym się w iskrach i popiele i zdyszczanym kół zgiełku. Jasio przyciskał wtedy piąstki do oczu, nie widzących już nic w tem migotaniu i kurzawie — niosł się ciężko bezradnem skomleniem do góry — za grzmieciem echem. Zacichający gwizdek długo jeszcze płakał wraz z małym Jasiem.

STANISŁAW PIĘTAK

SPOTKANIE

Po niebie chodziła Marysia z liljami,
 więc oczy zakopywałem długo w rozpalony piach—
 na zgrzanej oborze pies i złoty dym upału,
 do koryta z zieloną wodą słońce wianuszek srebrnych
 kwiatów
 kwitnąć upuszczają.

Gdy zatrzymałem lśniące lustro wątlami palcami,
 zakrwawiła się czarna wstążka w piersiach od nagłego kaszlu,
 Marja—Marja już nie szła, płynęła z chmurami,
 na ustach mając lilje i lilje we włosach —
 stałem boso, w lnianych portkach,
 wydłużyły mi się worki błękitu koło nagich pach.

Wargi poranione żarem ważyły jak kawalek żelaza,
 próżno do oczu zaczerpnąć z nieba łez,
 ściężyną, unoszoną nitczkami ciszy,
 nabity w obnażoną czerwień i gryzący płacz,
 wyszedłeś znowu,
 spojrzeniem kalecząc mi piersi jak igłami.

Odyby móc, zapaliłbym powietrze ręką —

ach, przecież wyniosłem cię za daleką drogę,
 czemu nie odszedłeś z brzoźami w rozłożony pył?
 Ty nawet nie wiesz, jak bolał
 twoich krwawiących oczu ropiejący strach.

Wziąłem cię w ręce,
 wtedy lustro umknęło między wierzby,
 tam głos Marysi kwitł,
 czy wiedziałeś, że idę cię topić?
 W gardle owiniętem zgniłą sierścią ktoś ci tak rzewnie krew
 rozszlochał,

z chmur upadł biały wianek,
 gdy Marja pokrwawiła błękitną dolinę ustami,
 od północy z czarnego pustkowia
 wyszedł rudy prałat, groził —
 żeby tak zębami pogryźć niebo
 na białe strzępy zdarłbym zapłodnione stada chmur.

Od żył rozkruszyła się cisza, z zachodu wyszedł brat i płakał,
 pochylilem się nad wodą —
 śliniło się słońce, wijące wianuszki z liljowego tła,
 na Marję musiałem splunąć, prałatowi pokazałem język,
 by ciebie mocno zepchnąć do samego dna.

Wypląnąłeś po chwili,
 w oczach ten sam bolesny pożar, co u płaczącego brata,
 czas naładowany nożami serca nie omijał,
 a jednak wałnąłem cię w chory łeb kamieniem,
 zakwiliła krew w uszach, potem na spłoszonej szyi
 od jęku twego rozpluskał się wiatr.

Tej samej nocy Marja miała twe oczy i płakała, gdym ją bił,
 czemu nie odchodzisz dotąd?
 nie zostawiłeś jej w piersiach mleka ani nitki krwi,
 a ciągle rozdrapujesz jej ciało pazurami.

Gdy wrastasz nad ranem w obnażony księżyc,
 nie uśmiecham się od drzewi —
 wiem, że znów jutro jeszcze boleśniej mi się przyśniesz.

MARJAN CZUCHNOWSKI

J A K

Gdy zima, jak świtu srebrna kawiarnia
nad miastem szklano w powietrzu otwarta
Tak

stoi miasto w widoku.

U

żółtych dachów w przedmieściu. Jak wzgórze.

Dla

mlecznych niebios ulice jak rana.

Cicho.

Księżyc

umknął

za rogatkę ciemności

niebo mnąc.

Głośniej konie. Szmer podków

mdlał w sine gwiazd stado!

Drzewa poranne w księżycu, i duże,

w ogrodzie mokrych lamp z snu.

Biały pąk mrozu zwilgł.

Pod żyrandolem brzasku z srebrnych liści

wypuszczał w drugi pąk.

Aż —

taje dzień w kamiennych okolicach.

To

proste.

Jak

byk

na

żółto.

Rano

furę czerwieni w powietrze wytrząsa,

za którym stoi wzgórze z złotych woni.

I stąd

blado

nocny stróż ulicę wdycha na jedwabny wąs,

która naga w szklanych murach dnia.

TADEUSZ BOCHEŃSKI (Kraków)

ZACHÓD SŁOŃCA W KAZIMIERZU

Dopiero był Kazimierz, były wzgórza i rzeka,
dopiero się nad miastem dym nieśmiały rozwlekał.

Lecz oto znikł Kazimierz, znikły jesienne wzgórza:
w nocy się i w nicości świat szeroki zanurza.

Ocalała, zachodem w lekkie zmieniona szkliwo,
tylko Wisła: różowe rozrzewniające dziwo.

Tak czasem miłość, nocy oceanem oblana,
dwoma sercami krwawi, najśłodsza, wspólna rana.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

M O S T

Zarzucam wędkę spojrzenia,
nie wędkę —
harpun.
Czy chwyci?
Szarpnęło...

I oto most z ócz i płomienia,
i oto krucha deska,
i oto dal się rozlała niebieska:
nad nią błękitu sfera,
roztocz pogody i ciszy.

Łagodnie kraję lśniące skiby,
dumnie słońca banderę kołyszę
niby
jacht miliardera,
płynący przez Pacyfik
na koralowe atole.

Więc jest taka niebieska zatoka
i szlak mierzący w szczęście?
I czyjeś zaciśnięte pięści
rozprężą palce w radosną swawolę?
I ktoś już od słońca nie oderwie oka?

A jeśli nawałnica — sztorm,
bałwanów potworne góry,
przyładek Horn
i nurt ponury?

A jeśli serce porwane jak kamień
w otchłań bez dna?

Bo może oczy kłamią?..

WSPOMNIENIE O SERGJUSZU JESIENINIE

We „Wspomnieniach“, poświęconych pisarzom, z którymi bliżej lub dalej zetknął się na swej drodze życiowej Maksym Gorkij, znajdujemy między innymi ustęp o jednym z największych poetów Rosji porewolucyjnej, przedwześnie samobójczą śmiercią zmarłym Sergjuszu Jesieninie.

„Po raz pierwszy“, pisze Gorkij, „ujrzałem Jesienina w r. 1914. Spotkałem go gdzieś razem z Klujewem. Wydał mi się piętnasto — siedemnastoletnim chłopcem. Kędzierzawy, jasnowłosy, w błękitnej rubaszce i wyszywanych butach... Było lato, duszna noc, szliśmy we trójkę zrazu przez Bassejną, potem przez most Symeona, na którym zatrzymaliśmy się, patrząc na czarną wodę. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, zapewne o wojnie, która się już zaczęła. Jesienin uczynił na mnie wrażenie skromnego i trochę stropionego chłopca, który sam czuje, że olbrzymi Petersburg to miejsce dla niego nieodpowiednie.. Gdy czytałem później pełne rozmachu, wyraziste, zadziwiająco serdeczne jego wiersze, nie chciało mi się wierzyć, że napisał je ten sam wystrojony jak na obrazku chłopiec, z którym stałem na moście Symeona, patrząc, jak pluje przez zęby na czarny aksamit rzeki, ściśniętej granitem“.

„Po sześciu czy siedmiu latach spotkałem Jesienina w Berlinie w mieszkaniu A. N. Tołstoja. Po kędzierzawym zabawkowym chłopcu pozostały tylko bardzo jasne oczy, a i te jakby wypaliły się w jakimś zbyt oślepiającym słońcu. Niespokojny wzrok jego ślizgał się po twarzach ludzkich to wyzywająco pogardliwie, to niepewnie, stropiony i nieufny. Wydało mi się, że wogóle jest nastrojony względem ludzi wrogo. I znać było, że pije. Powieki miał spuchnięte, białka oczu zaczerwienione, skórę na twarzy i szyi szarą, wyblakłą, jak człowiek, który bywa mało na powietrzu i źle sypia“...

„Towarzyszili mu Izadora Duncan i Kusikow... Poproszono Jesienina, by co zarecytował. Zgodził się chętnie, wstał i rozpoczął monolog Chłopuszy. Z początku tragiczne okrzyki katorżnika wydały mi się teatralne: „Szalona, wściekła, krwawa zawierucho! Czy śmierć, czy wyzdrowienie przynosisz kalekom“ (przekład wyjątków „Pugaczowa“ — W. Broniewskiego). Lecz wkrótce odczułem, że Jesienin recytuje w sposób wstrząsający, że słuchać go przykro, doprowadza aż do łez. Nie mogę jego recytacji nazwać artystyczną, wymyślną i t. d., wszystkie te epitety nic nie mówią o charakterze jego recytacji. Głos poety

dźwięczał nieco ochryple, krzykliwie, podrzucał i to jak najmocniej podkreślało kamienne słowa Chłopuszy. Zadziwiająco szczerze, z niezwykłą siłą brzmiało niejednokrotnie i z różną intonacją powtórzone żądanie katorżnika: „Ja chcę widzieć tego człowieka!“ I wspaniale oddał strach: „Gdzie on? Gdzie? Ja opowiem mu wszystko!“ Wprost nie chciało się wierzyć, że tak mały człowiek posiada taką ogromną siłę uczucia, taką pełnię wyrazistości. Przy recytacji zbladł do tego stopnia, że nawet uszy miał szare. Wymachiwał rękoma nie do taktu wierszy, ale tak było potrzeba, rytm ich był nieuchwytny, ciężar kamiennych słów kapryśnie różnoważny. Zdało się, że ciska je, jedno sobie pod nogi, drugie daleko, trzecie w czyjąś znie-nawidzoną twarz. I wogóle wszystko: ochrypli, zerwany głos, nieodpowiednie gesty, kołyszący się kadłub, płonące tęsknotą oczy — wszystko było takie, jakie być powinno w ówczesnem otoczeniu poety. Zadziwiająco wprost wypowiedział trzykrotne pytanie Pugaczowa: — „Wyście szaleni?“, głośno i gniewnie, potem ciszej, lecz jeszcze goręcej: — „Wyście szaleni?“ — I nareszcie zupełnie cicho, bez tchu, rozpaczliwie: „Wyście szaleni! Kto wam powiedział, że już nadszedł koniec!“ Trudno wyrazić, jak pięknie powiedział: „Czyżby i duszę trzeba tak jak ciężar nosić?“ I po króciutkiej pauzie westchnął beznadziejnie, żegnając się: „Drodzy moi... Najdrożsi...“ Wzruszył mię, że aż coś dławilo w gardle, chciało się łkać. Pamiętam, nie mogłem mu rzec słowa pochwały i myślę, że nie potrzebował go zupełnie“.

„Poprosiłem go, aby wygłosił wiersz o psie, któremu odebrano i wrzucono do rzeki siedmioro szczeniąt. — „Jeśli pan nie jest zmęczony...“ — „Mnie wiersze nie męczą“ — powiedział i z niedowierzaniem zapytał: — „Panu się podoba to o psie?. Odparłem, że, mojem zdaniem, on pierwszy w literaturze rsyskiej tak umiejętnie i z taką szczerą miłością pisze o zwierzętach. — „Tak, ja bardzo lubię każde zwierzę“, — rzekł cicho, zamysłony, i na moje pytanie, czy zna „Raj zwierząt“ Claudel'a, nic nie odpowiedział, pomacał oburącz głowę i zaczął recytować „Pieśń o psie“. Gdy wypowiedział ostatnią zwrotkę: „Potoczyły się smutne psie oczy gwiazdami złotemi po śniegu“, w oczach jego także zamigotały łzy. Po tych wierszach mimowoli myślało się, że Sergjusz Jesienin to nie tyle człowiek, ile narząd, stworzony przez naturę wyłącznie do poezji, do wyrażania niewyczerpanego „smutku pól“, miłości do wszystkiego, co żyje na świecie, i miłosierdzia, na które najwięcej zasługuje człowiek“.

ALEKSANDER PUSZKIN

Exegi monumentum...

Jam pomnik sobie wzniosł bez ludzkich rąk udziału
i nie zarośnie ścieżka, co prowadzi doń;
oto przewyższył on już głową swą zuchwałą
aleksandryjskich szczytów skroń.

Nie, ja nie umrę wam! Duch w lirze przez stulecia
przeżyje ciała proch i umknie zgubie lat,
dopóki chociaż jeden śpiewak jest na świecie,
mą chwałę głosić będzie świat.

Pójdzie po Rosji wieść i sławy wielkiej krzykiem
wielbić mnie będą ludy wpośród swoich dróg:
przyjaciel stepów Kałmuk, Finn i dzisiaj dziki
Tunguz i dumnych Słowian wnuk.

I długo będę za to w ludzkiej trwał pamięci,
żem dobro wzniecał w sercach darem słodkich muz,
żem w swych okrutnych czasach pieśń wolności święcił
i tym, co padli, litość niósł.

Boskich wyroków, muzo moja, słuchaj chętnie,
niech cię nie wzrusza kłamstwo ani mirtu liść,
pochwałę i oszczerstwo przyjmuj obojętnie
i w tłumie ucz się milcząc iść.

Spolszczył Józef Łobodowski

MICHAŁ LERMONTOW

GDY LEKKI CZESZE WIATR ŻÓŁKNĄCE WŁOSY NIWY...

Gdy lekki chesze wiatr żółknące włosy niwy
i szumi młody las, witając letni dzień,
i w sadzie śmieją się dojrzewające śliwy,
chowając czerwień ust pod słodki listków cień;

gdy rosą lśniąc jak diament przezroczystrą
w rumiany chłodny zmierzch, czy w jutrzni złoty czas,

z pod krzaku mi konwalji kwiat srebrzysty
uśmiechy śle, od których pachnie las;

gdy w jarze zimny zdrój po głazach śliskich płynie
i grążąc myśli me w półjawie i półśnie,
bełkocze pieśń o cichej tej krainie,
skąd w smutną dal dziś wartkim prądem mknie:

ach, wtedy pierzcha gdzieś niepokój mój i trwoga,
i rozpogadza się zmarszczona troską skroń,
i szczęście ziemskie już wyciąga do mnie dłoń,
i widzę tam w niebiosach Boga.

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

ATANAZY FIET

Na stogu siana nocą letnią
leżałem, patrząc w świat bez chmur.
Nade mną niby srebrne fletnie
gwiazd migocących zgodny chór.

Jak sen niejasny zamierając,
w bezkresy pedził ziemski glob
i jak mieszkaniec pierwszy raju
ujrzałem, drżący, nocy strop.

Czy ja to mknąłem w otchłań nocną,
czy na mnie gwiazdy mknęły wprost?
Zda się, trzymany dłońią mocną,
zawisłem — nad otchłanią most.

I ze wzruszenia oniemiały
rozwartą mierzył głęb mój wzrok
i z każdą chwilą zapadałem
wciąż bezpowrotnie w nocy mrok.

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

TEODOR SOŁUGUB

* * *

Już ostatnie dążenia w nas gasną
i do pracy zabrakło nam siły, —
zejść już czas nam
do mogiły.

Więc usnijmyż pod tą ziemią sypką,
niby dzieci pod ciepłą pościelą, —
w proch zmienimy się szybko
i bez celu.

Spolszczył Józef Łobodowski

KONSTANTY BALMONT

KOWAL

Ukochana, czyś widziała
trud kowala — piękny jest:
i ten ciemny kolor ciała,
i tych pewnych dłoni gest,
i ten młot, co iskry krzesze,
i ten złoty w ogniu chrzest —
wszystko, wszystko mnie w nim cieszy,
piękny jest.

Chcę tak samo być kowalem,
ja przy pracy śpiewam też,
z twarzą znojną wciąż w zapale
mierzę życie wzdłuż i wszecz.
Dym i ogień wkrąg się ściela,
płonie słów ognisty kierz,
stąd radości dla mnie wiele —
kuję wiersz.

Spolszczył Kasimierz Andrzej Jaworski

MAKSYMILJAN WOŁOŻYŃ

GŁOWA MADAME DE LAMBALLE

(4 września 1792 r.)

To namiętne i gibkie me ciało
 czerń zdusiła, zmiądzzyła nogami
 i nad nagim się trupem znęcała...

I na ciało
 nie śmiałam
 popatrzeć...
 Ale mnie odrąbano od ciała,
 rzucając splacheć
 spalonego mięsa na kamień...

I pijana radość motłochu
 niosła w ścisku przez ulic mnie skręty,
 ktoś popijał w szynku alkohol
 i na mokre rzucił mnie sprzęty.
 Ale balwierz, cuchnący winem,
 moje loki rozczesał płowe,
 naróżował policzki karminem
 i upudrował...

Wtedy cała pobita, skrwawiona,
 ręką kata
 niczem wczoraj na bal utrefiona
 ponad tłumem na pice skrzydlata
 tyrsem krwawym wyrosłam.

Śpiewał motłoch w szaleństwie święty
 Zda się, jestem na balu w Wersalu...
 Fala tańca mię niesie namiętna.
 Niby ogień śpiew dziki się szerzył...
 I po schodach wśród kurzu i brudu
 jam się wzniosła do okienka w wieży,
 by królowej zwiastować gniew ludu.

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

ALEKSANDER BŁOK

L E G E N D A

Boże, czy słyszysz... Wybaczysz, Boże...

Wiosna płynęła w niebieskiej mgle.

W głuchym zaułku dziewczęta hoże

wyszły po grzech. Było ich dwie.

Trzeci za niemi. Lampa błyskała.

Snuł się bez szmeru, śladem tuż, tuż.

Snuł się — nieznany... Jedna myślała,
że niedaleko już światłość zórz.

Lecz północ mrokiem wciąż głębszym dyszy,

noc taje, ginie w wiosennych snach.

I mówi dziewczę: „Ty słyszysz, słyszysz...“

i szeptce: „Z tobą tak mi dziś strach...“

Ubrana była w sukienkę białą,

ta druga w czerni (czy dziecko twe?)

Tej białej ciałko wychudłe drżało,

a druga — śmiała się w noc i mgłę...

Czy słyszysz, Panie, zlituj się, zlituj...

ta druga z śmiechem przyśpiesza krok...

a na ulicy pustką zabitej

zostali... Trzeci, ona i mrok.

Chyba świt blisko, chyba już blisko,

już blade zorza błądzi przez zmrok...

Rąbek niebiosów opadł tak nisko,

że zgasił latarń ostatnich wzrok.

Spadał tu łukiem. W przedświcie długim

nocy pijanej gubił się chmiel,

Gdy w trawie błysły na szkiełku smugi

została sama i sukni biel...

Pierwszych promyków nitki się żarzą.

Słabe rączyny chwyciły nić.

Ale już miasto grzmiąc rzeką zdarzeń

gdzieś w oddaleniu zaczęło żyć.

Był miłośny narkotyk w paczce barwnych banknotów.

Przeraziła się zorza, lecz przez wolę złych sił

któs dał miastu niezmierny przepych złota i potu

i słupami zatruty pył w powietrze się wzbił.

Podchodzili sąsiedzi, coś szeptali namolnie.

Starzec siwy jak dymek szcudłem wsparł się —

tak stał.

Duszno było dokoła, Monotonnie i polnie.
 rzucał kurz Niewidzialny, Niewidzialny się śmiał.
 W tym ognistym orkanie ręce jej przyciskały
 ziemię brudną i suchą, rozpaloną jak piec.
 Boże wielki, wszak sprawisz, by zelzały nam skały,
 odwróć od nas karzący, rażący twój miecz.
 Wówczas niebo znak dało: w środek pyłu i krzyku
 zstąpił jasny Archanioł. Ubieloną miał dłoń.
 Wszystkim się wydawało, że wychodził z sklepiku
 i że mąka mu bieli czoło, ręce i skroń.
 Ale skały się rwały Ziemia już oddychała.
 Cichnął w deszczu daleki, rozspiewany skądś wóz...
 Głucho ciżba huczała. Dziko burza się śmiała,
 — — — — — — — — — —
 Małą, białą dziewczeczkę, archanioł do domu niósł..

Spolszczył Józef Czechowicz

SERGJUSZ JESIENIN

Może późno, może nazbyt wcześnie,
 nawiedziła dziś znowu myśl mnie ta:
 jam się w Don Juana już wcieleśnił,
 jak prawdziwy lekkoduch poeta.

Co się stało? Jak dzień po dniu świta,
 codzień klęczę u stóp innej, błady,
 codzień tracę sam dla siebie litość,
 nie chcąc godzić się z goryczą zdrady.

Zawsze chciałem, aby krwi mej obieg
 jak najmniej uczucia tkliwe żywił.
 Czegoż szukam więc wciąż w oczach kobiet
 lekkomyślnych, pustych i fałszywych?

Ratuj, wzgardo, życia mego wątek,
 zawszem słuchał gorzkiej twej wymowy.
 W duszy kipi lodowaty wrzątek
 i bżów cichych szelest fioletowy

W duszy zachód — żółta mgła polata
 i wciąż słyhać w mroku i tumanie:

Za swobodę uczuć jest zapłata,
Don Juanie, przyjmij więc wyzwanie.

Ach, przyjmuję. I los spotykając,
widzę dziś już, że mi wszystko jedno—
czcić w zamieci kwiat błękitny maja,
zwać miłością namiętności sedno.

Tak się stało. Tak się jakoś stało,
stąd u wielu stóp klęczałem, błądy,
by się wiecznie szczęście uśmiechało,
nie chcąc godzić się z goryczą zdrady

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

KRZYSZTOF KOLUMB

(fragment)

Minęły lata. Roztrzęsiony w pianach
ucichł Atlantyck, hardy zamłodu.
Z burt „Majesticów“ pierwsza lepsza brzana
pluje na twoją siwobrodą mordę.

Kolumbie! Tybyś się dzisiaj przestraszył:
na dnie okrętów twoi potomkowie
w sąsiedztwie piekła rozpalonych maszyn
leżą pokotem głowa przy głowie.

A na górze w blasku pierwszorzędnych rozetek,
tocząc się brzuchem po dobrym obiedzie
w konforcie kin, czytelnicy i klozetów
bawią się donny, signory i ladies.

Gdyby to ode mnie zależało osobiście,
to jabym o Kolumbie, zacny durniu,
jabym Amerykę zamknął, zlekka wyczyścił,
a potem znowu ją odkrył powtórnie.

Spolszczył Józef Łobodowski

BORYS PASTERNAK

GÓRY WRÓBLE

(Worobjowy gory)

Piers pod pocałunki jak pod ręcznik nadstaw!
Wszak nie wiek, nie zawsze bije lata zdrój.
Wszak nie noc za nocą ryk harmonji wzrasta,
wlokąc się w kurzawie jak nasz ból i znój.

Starość, wiem—to straszne. O tem wciąż się gwarzy
Wiatr już gwiazd nie strząśnie dłonią w nocy czas.
Mówią ci — nie wierzysz, łąka nie ma twarzy:
stawy serc nie mają, Bóg opuścił las.

Kołysz się więc, duszo! Pień się dzisiaj cała.
To południe świata. Chciwie okiem chłoń.
Widzisz, myśli wgórze tworzą kipieli białą
chmur, dzięciołów, szyszek -- żaru lepka toń.

Tutaj się krzyżują szyny tramwajowe.
Dalej drzew modlitwa. Dalej wara im!
Dalej jest niedziela. Tnąc gałązki płowe,
biegnie leśna dróżka po kobiercu swym.

Siejąc żar południa, nastrój świąt wiośniany,
prosi las, by wierzyć -- tu pokoju świat.
Tak go gaj wymyślił, tak go chce polana,
tak go leje na nas biały chmurek sad.

Spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

Prenumerujcie i rozpowszechniajcie „Kamena”.

Popierając pismo, umożliwicie jego dalszy rozwój

NOTY

AKADEMJA LITERATURY, której kwestję tylekroć poddawano dyskusji i na której powstanie tyle się lat czekało, stała się faktem, gdy zabrakło już tych, co przedewszystkiem mieliby prawo w niej zasiadać. Akademia bez Żeromskiego, Reymonta, Przybyszewskiego i Kasprowicza. Nawet bez Weyssenhoffa i Orkana. Abstrahując od wartości nowej instytucji, której powstaniem jedni nadmiernie się eutuzjazzują, gdy inni znów chcą widzieć w niej placówkę, mającą służyć określonym celom, zastanawiamy się nad jej składem, znaleźć piętnastu „nieśmiertelnych“ po zgonie tych, krórczy na prawdziwą nieśmiertelność zasłużyli, jest rzeczą niełatwą, zwłaszcza gdy Strug odmówił, a Świętochowski, Tetmajer, Goetel i Dąbrowska dla niewiadomych powodów w rachubę nie weszli. To też dla zapelnienia luk powołano do Akademji ludzi, z literaturą piękną w charakterze jej twórców nic nie mających wspólnego, jak zasłużonych na polu nauki profesorów Kleinera i Zielińskiego (już członków Akademji Umiejętności) lub publicystę Rzymowskiego, który pięknie spolszczył Pappiniego i Sofficiego, co jednak chyba nie jest dostateczną racją do znalezienia się w liczbie „nieśmiertelnych“ Również zdumienie wywołać muszą Miriam i Leśmian jako akademicy: pierwszemu fotel akademicki należałby się dopiero po wydaniu wszystkich marynowanych przez niego pism Norwida, drugi powinien był naśladować skromność Hłakowiczówny.

UKAZAŁO SIĘ PIĘĆ NUMERÓW „PIONU“, nowego tygodnika literacko-społecznego w Warszawie. Pismo redaguje Tadeusz Świącicki. Z artykułów, zamieszczonych w pierwszych numerach, zasługują na uwagę „Kompleks nd“ Ostrowskiego, „Niewola duchowa“ Chwistka, „Ogniem i mieczem a rzeczywistość historyczna“ Górki, „Lord Jim—Conrada“ Pomirowskiego, „Nowa sztuka a spuścizna sztuki epok minionych“ Stażewskiego, i „Żywy Dante“ Boyégo. Z literatury pięknej — fragment powieści Nałkowskiej, niedrukowane dotąd poczje przedwcześnie zmarłego Jerzego Lieberta oraz piękny wiersz Konrada Bielskiego „Ewokacja“.

Zamieszczając rzekomo „niedrukowane rękopisy“, redakcja „Pionu“ została dwukrotnie wprowadzona w błąd. „Sztuka polska w polskich kościołach“ „Przybyszewskiego“ (№ 2) była już drukowana w poznańskim „Zdroju“ z 1918 r., „Wśród ruin“ zaś Brzozowskiego (№ 5) w drugim numerze „Skamandra“ z r. 1920. Gaffy dla poważnego pisma bądź co bądź nieprzyjemne.

SOWIECKI NUMER (518) „WIADOMOŚCI LITERACKICH“ powinien się znaleźć w rękach każdego inteligentnego czytelnika. Daje on wszechstronny obraz życia kulturalnego Z.S.R.R. w oświetleniu wybitnych jego twórców. Uwzględniając nawet zrozumiałą możliwość pewnego subiektywizmu autorów w przedstawieniu życia duchowego Związku, podziwiać musimy olbrzymi jego rozmach twórczy we wszystkich dziedzinach kultury. „Wiadomościom Literackim“ należy się prawdziwe uznanie czytelników za piękną inicjatywę, która przyczyni się w dużym stopniu do zbliżenia sąsiadujących państw. Teraz kolej na „Literaturnuju Gazietu“ wydać numer, poświęcony kulturze Polski Odrodzonej.

UKAZAŁ SIĘ № 1 „GAZETY LITERACKIEJ“ pod nową redakcją Jerzego Brauna. Pismo jest organem krakowskiej grupy xy, stojącej na gruncie polskiego mesjanizmu filozoficznego, i w ten sposób współdziała z warszawskim „Zetem“ Obok „Zetu“ i „Kamenu“ to trzecie pismo literackie w Polsce, realizujące program zbliżenia kulturalnego narodów słowiańskich. W № 1 znajdujemy kolumnę poetów rosyjskich: Wołoszyna, Błoka, Jesienina i Majakowskiego w przekładach J. Czechowicza, K. A. Jaworskiego i J. Łobodowskiego oraz artykuł J. Magiera o poetce czeskiej Rużenie Jeseńskiej.

DO „PRZEDWIOŚNIA“ ŻEROMSKIEGO nie mają jakoś szczęścia nasze pisma literackie. W № 1 „Pionu“ w artykule wstępnym z Cezarego Baryki zrobiono Piotra. W № 1 „Gazety Literackiej“ również w artykule wstępnym pan Gajowiec przekształcił się w Krzysztofa Cedrę z „Popiołów“. Możeby lepiej nie wzywać imienia Żeromskiego nadaremno.

UBOGĄ NASZĄ LITERATURĘ TEORETYCZNĄ z zakresu poezji wzbogaciło nowe wydawnictwo. Niedawno na rynku księgarskim ukazała się książka Jana Brzękowskiego p. t. „Poezja integralna“ Rzeczą składa się z trzech artykułów: „Elementy i struktura“, „Budowa“, „Poezja stosowana a poezja proletariacka“, drukowanych częściowo dawniej na łamach „Linji“ krakowskiej. Autor porusza cały szereg zagadnień, związanych z nowoczesną techniką rymotwórczą, wskazując na przykładach niektórych wierszy awangardowych (Peipera, Brzękowskiego, Czuchnowskiego, Czechowicza, Kurka, Przybosia i Ważyka) nowe osiągnięcia w zakresie ekspresji poetyckiej. Książka, napisana żywo i ciekawie, powinna wzbudzić zainteresowanie wśród miłośników poezji i wywołać dyskusję. Do niektórych poruszonych w niej spraw powrócimy w przyszłości.

JALU KUREK, poeta awangardy krakowskiej i redaktor czasopisma literackiego „Linja“, opublikował dwa nowe zbiorki poetyckie, które ukazały się niedawno nakładem F. Hoesicka w Warszawie. Pierwszy, pod egzotycznym tytułem „Mohigangas“, zawiera dawniejsze i nowsze wiersze Kurka, przeważnie o charakterze czysto estetycznym, choć spotykamy tu kilka utworów o pewnym zabarwieniu ideowym (np. „Robotnicy“, „Pieśń murarzy“). Drugi, „Usta na pomoc“, to właściwie poemat społeczny, składający się z 29 wierszy bez tytułu, powiązanych wspólną osią tematyczną: losem Zygmunta, „studenta po maturze“, który w nędzy umiera na gruźlicę. Na tej kanwie snuje poeta swoje rozważania socjalne. (Niektóre fragmenty tego poematu weszły do „Antologii poezji społecznej“, wydanej w tym roku w Wilnie). Forma wierszy obu zbiorków — nawskroś nowoczesna, pełna nieoczekiwanych świeżych figur stylistycznych — (Przytoczyćby należało cały piękny wiersz „Bitwa z nocą“, takie powiedzenia, jak „Przejsz przez most—to znaczy zaufać ręce człowieka“, lub „Daj gałąź serca przychylić i otrząść wszystkie śliwki“, albo „Pociągom wystają z kieszeni chusteczki ciepłych pożegnań“, przenośnie: „kable słów“, „szkło powietrza“, „prześcieradło wody“, „rzeczpospolita chmur“, „pudełko tęsknot“, „spazm wyciągniętych rąk“, „ognisty księżycyca nóż“, „ust strumień“ i in.). W pierwszym zbiorku wydaje mi się nieuzasadniona forma dystychowa niektórych utworów. W drugim stanowczo zbyteczny jest wstęp: tom mocnych wierszy mówi sam za siebie, a wynurzenia wstępne autora wydają się kokietowaniem czytelnika (czki!). Poza tem poecie, który tak trafnie napisał: „Nie bijcie się! Jak piękne jest życie, Rozdarte na pracę, czuwanie i wolę. Powiedział ktoś: — zamiast bić się, Idźcie lepiej młócić zboże cepami w stodole“, — nie przystoi obawiać się nudy.

SPRAWA POETY—pod tym tytułem zamieszcza Ewa Szelburg — Zarembina w № 46 (517) „Wiadomości Literackich“ swoje rozważania na marginesie sprawy Józefa Łobodowskiego: „Osądzono w Lublinie i skazano poetę, autora zbioru wierszy „O czerwonej krwi“, Józefa Łobodowskiego.... Nie należy przejść nad tem zdarzeniem w milczeniu. Nie jest to bowiem sprawa oskarżonego „mieszkańca miasta Lublina, Józefa Łobodowskiego, syna Władysława lat 23“, ale jest to sprawa poety, jest to sprawa wszystkich poetów, sprawa Poezji—ponieważ Poezję właśnie postawiono w lubelskim sądzie w stan oskarżenia, osądzono ją i skazano“.

Gdyby w sposób, praktykowany dziś w urzędach cenzury, chciano odbezbzoić, umoralnić i ułagodzić Mickiewicza, Słowackiego, Żeromskiego, Kasprówicza — wiele kart czcigodnych ksiąg byłoby poplamionych pustemi białemi miejscami.

Jak się mają bronić poeci dziś żyjący?"

(Jak wiadomo, Sąd Najwyższy w Warszawie dn. 18 września b. r. skasował wyrok lubelskiego Sądu Apelacyjnego i postanowił przekazać sprawę Sądowi Apelacyjnemu w Warszawie do ponownego rozpatrzenia).

— kaj —

WYDAWNICTWO „DROGA“, oprócz książek z dziedziny polityki, spraw społecznych, ekonomicznych i ogólnokulturalnych, publikuje również dzieła literackie, ujęte w dwie serie: „Biblioteka poetycka“ i „Biblioteka dramatyczna“. W „Bibliotece dramatycznej Drogi“ ukazały się ostatnio: „Everyman“ („Każdy“), średniowieczny moralitet angielski w przekładzie znanego anglisty Stanisława Helsztyńskiego, oraz potężna tragedia antyczna André Gide'a p. t. „Edyp“, w przekładzie Romana Kołonieckiego. „Każdy“ jest to klasyczne dzieło, ilustrujące teatr średniowieczny w Europie Zachodniej i bardzo dla tego okresu w dziejach teatru typowe. Jako doskonały „tekst źródłowy“, przyda się bezwątpienia w nauczaniu szkolnem — zarówno przy nauce historii literatury, jak i przy nauce historii. „Edyp“ Gide'a jest nowoczesną interpretacją słynnego mitu, który tak bardzo absorbował wielkich tragiczków greckich. Znakomity pisarz francuski tylko częściowo trzyma się w tym utworze tradycyjnej wersji legendy o królu Edypie, częściowo zaś samodzielnie ją przetwarza. Tragedja Gide'a a jest utworem, pełnym głębokich problemów etyczno-religijnych i nacechowanym surową prostotą artyzmu.

PRO URBE SUA

11-go października odbyła się w Chełmie druga kolejna premiera Teatru Polskiego pod dyktando p. Al. Rodziewicza. Odegrano dowcipną komedię Perzyńskiego „Dziękuję za służbę“. Skład tej grupy artystów nie ustępuje pod względem wartości scenicznej — poprzedniej, grającej pod bezpośrednim kierownictwem p. dyr. Rodziewicza. Wyróżnili się szczególnie p. M. Zoner w roli profesora, z świetną flegmą cedzący antifeministyczne złośliwe aforyzmy, znana już na gruncie chełmskim z występów „Reduty“ p. Zielińska oraz czarująca Dwidzia — p. K. Sarnecka. Zbyszek niepotrzebnie szarżował. Sala była przepelniona. Publiczność owacyjnie przyjmowała grę artystów.

14-go października Koło Literackie im. S. Żeromskiego przy Semin. Naucz. Męskiem urządziło wieczór ku czci Norwida z okazji przypadającego w tym roku pięćdziesięciolecia śmierci poety. Na program złożył się referat i recytacje utworów Norwida w wykonaniu uczniów oraz produkcje muzyczne orkiestry seminarjalnej pod batutą prof. A. Wilczyńskiego. Publiczność składała się prawie wyłącznie z młodzieży. Inteligencja chełmska, oczywiście, nie zainteresowała się wieczorem.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. J. B. W PARYŻU. Dziękujemy.

P. R. W. WE LWOWIE. Postaramy się dać jeszcze jedną kolumnę, poświęconą poezji ukraińskiej w jednym z przyszłych numerów.

P. Z. O. W LUBLINIE. Zapytuje Pan, dlaczego „druk numeru drugiego „Kamieny“ wypadł tak fatalnie“. Nie nasza wina. Ale odtąd będzie lepiej.

P. K. M. W WARSZAWIE. Z nadesłanych wierszy nie skorzystamy.

P. S. T. W SOSNOWCU. Reportaż ciekawy w treści, ale forma szwankuje.

P. B. K. W ZAMOŚCIU. Nie umiemy w tej sprawie nic Panu poradzić.

PISMA I KSIĄŻKI NADEŚLANE:

CZAS — red. dr. A. Beaupré, Kraków, św. Tomasza 32

BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI — red. W. Bączkowski, Warszawa, Miodowa 7-11

DAŻBOH — red. E. Pełeński, Lwów, Korniaktów 1

POLONISTA, Warszawa, Nowy Świat 23-25

SMUGA Wilno, Wielka 18-10

KAŻDY (Everyman) — Biblioteka Drogi № 4, W-wa 1933

ANDRZEJ GIDE Edyp, Biblioteka Dramatyczna Drogi № 5, W-wa 1933

JAN BRZEKOWSKI Poezja integralna, Warszawa 1933

JALU KUREK Mohigangas, Warszawa. Hoesick 1933

JALU KUREK Usta na front, Warszawa, Hoesick 1934